

PODRÓŻE DALEKIE I BLISKIE

Irena Sabeł

Gruzja – śladami królów i apostołów

Gruzja to niewielkie państwo leżące na pograniczu Europy i Azji. Jest to kraj o starożytnym rodowodzie, który już w IV w. przyjął chrześcijaństwo, był systematycznie podbijany przez Mongołów, Persów i Turków, a do rozpadu Związku Radzieckiego istniał jako republika ZSRR.

Kraj ten urzeka niesamowitymi krajobrazami – od Wielkiego Kaukazu przez niziny, półpustynne płaskowyzę do rozpalonych słońcem czarnomorskich plaż.

W październiku 2019 r. miałam okazję ujrzeć na własne oczy te wszystkie wspaniałości. W tym właśnie czasie, wraz z kilkunastoosobową grupą, wzięłam udział w zorganizowanej przez biuro podróży wycieczce do Gruzji.

To, co tam zobaczyliśmy, wielce nas urzekło: wyjątkowo kolorowa jesień z przebarwiającą się roślinnością od ciemnej zieleni, przez odcienie żółtego, czerwieni i brązu; stoki gór pokryte kolorowymi plamami drzew i krzewów; na górskich zboczach pasące się stada owiec, koni i krów, wracające bez nadzoru do swych zagród całą szerokością jezdni.

Po trzypółgodzinnym locie z Warszawy do Kutaisi czekała na nas kolacja i odpoczynek w hotelu we wspomnianym mieście.

Następnego dnia przedstawiono nam naszych przewodników – Marcina oraz krańniczanina Tomasza, który

od 8 lat mieszka w Gruzji, działając w stowarzyszeniu „Most dla Gruzji”. Tomasz jest również autorem przewodnika *Kaukaskie ścieżki: Chewsuretia oraz Gruzja wschodnia*.

Wynajętym dla nas autokarem z gruzińskim kierowcą udaliśmy się do Borjomi, kurortu sanatoryjnego z wodami siarkowymi, gdzie leczy się choroby układu trawiennego. Po drodze do Borjomi mieliśmy okazję wymienić euro na tamtejszą walutę, czyli larii (grosze to tetri).

Uzdrowisko, które zwiedziliśmy położone jest w kotlinie rzeki Kury. Z gór spływa tam wodospad, obok którego stoi pomnik Prometeusza. Właśnie tam, w towarzystwie słynnego tytana z mitologii greckiej, zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcie oraz nabraliśmy siarkowej wody do butelek.

W trakcie pobytu w Borjomi skorzystaliśmy również ze spaceru po deptaku, robiąc przy okazji pierwsze zakupy pamiątek. U przydrożnych sprzedawców nie omieszkaliśmy posmakować regionalnych, niepowtarzalnych rarytasów. A były to: bułeczki pieczone w specjalnym piecyku na oczach turystów; czurczchele – orzechy laskowe i włoskie gotowane w zagęszczonym mąką kukurydzianą soku z winogron, nanizane na bawełniane sznureczki; tklapi – cieniutkie placki ze sprasowanych owoców.



Przed pomnikiem Prometeusza



W twierdzy Rabat



Wykute w skale miasto Wardzia

W dalszej części dnia wyruszyliśmy do miasta Achalcyhe, gdzie czekało nas zwiedzanie turecko-gruzińskiego zamku – twierdzy Rabat. Jest to 900-letnia budowla, wewnątrz której zachowały się resztki pałacu, meczet, ormiański klasztor, piękny dziedziniec oraz baszty.

Wczesnym popołudniem dojechaliśmy do niesamowitego miasta skalnego Wardzia, usytuowanego na zboczu góry Eruszeli. Budowę tamtejszych jaskiń rozpoczęto w XII w. za panowania króla Gruzji Jerzego III, a ukończono pod rządami jego córki Tamary (lub Tamar). Była ona najwybitniejszą władczynią Gruzji, do dziś czczona przez miejscowy Kościół jako święta.

Miasto Wardzia wykute jest w ścianie kanionu rzeki Mtkwari. Obecnie zachowało się jeszcze 250 z 3 tysięcy komnat, położonych na trzynastu poziomach. Dostępne jest zwiedzanie tuneli, systemów wodno-kanalizacyjnych, komnat, fragmentów schodów. Niektórzy uczestnicy wycieczki wspięli się aż na sam szczyt tej oryginalnej budowli.

Wieczorem mieliśmy wyjątkową kolację z tomadą – wodzirejem, opowiadającym historyjki z morałem, a zarazem wznoszącym toasty gruzińskim winem.

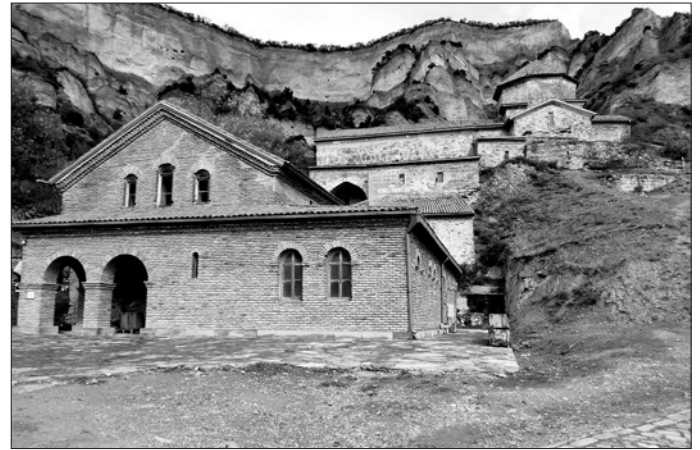
Kolejny dzień wycieczki poświęcony był zwiedzaniu stolicy Gruzji – Tbilisi, pięknie położonej w dolinie rzeki Kury. Rozpoczęliśmy je od wizyty w Muzeum Narodowym, gdzie podziwialiśmy wspaniałą kolekcję starożytnych skarbów ze złota, srebra i szlachetnych kamieni. Tu okazała się przydatna znajomość języka rosyjskiego, którym posługiwała się pani przewodniczka.

Po południu pospacerowaliśmy po centrum stolicy, podziwiając stare miasto, Plac Wolności z pomnikiem

św. Jerzego. W trakcie spaceru po dzielnicy łaźni siarkowych niektórzy skorzystali z zabiegów, które te łaźnie oferowały.

Z kolei wieczorem wjechaliśmy kolejką na wzgórze zamkowe Narikala, podziwiając stamtąd uroczą panoramę miasta: nowoczesne mosty, podświetlane fontanny, obiekty kultury, okazały pałac prezydencki. Uwiecznieniem tej panoramy jest pomnik Matki Gruzji, dzierżącej w prawej ręce miecz na wrogów, a w lewej dzban wina dla przyjaciół. Po zjechaniu na dół wstąpiliśmy do meczetu i cerkwi oraz do kościoła katolickiego, na dziedzińcu którego wybudowano okazały pomnik św. Jana Pawła II.

Następnego dnia po śniadaniu udaliśmy się w kierunku miasta Mcheta – historycznej i religijnej stolicy Gruzji, jednocześnie uchodzącego za jedną z najważniejszych i najpiękniejszych atrakcji. Malowniczo położona Mcheta jest pełna zabytkowych budowli, wpisanych na listę UNESCO.



Zabytkowy monastyr w mieście Mcheta

Najważniejszą z nich jest katedra Sweti Cchoweli, wybudowana w XI w. (Gruzja to drugi po Armenii najstarszy kraj chrześcijański). Pierwszy klasztor wybudował św. Szio, który przybył z Antiochi z dwunastoma braćmi w VI w. Miały tam miejsce różne wydarzenia historyczne: koronacje królów, śluby i pogrzeby władców oraz patriarchów. Również tam znajduje się siedziba katolikosy – zwierzchnika Gruzjińskiego Kościoła Prawosławnego.

Bogato zdobiony kompleks, z wieloma zabytkami, robi ogromne wrażenie. Jednym z takich zabytków jest kamienna chrzcielnica z VI w., a także piękny ikonostas. Ponadto w katedrze znajdują się szczątki dziesięciu władców Gruzji.

W trakcie pobytu w Mchecie, udaliśmy się również do świątyni Samtawro, wybudowanej przez króla Miriamę III na cześć św. Nino. Święta Nino to apostołka, dzięki której Gruzja przyjęła chrześcijaństwo w 317 r. Nino jest zarówno świętą, apostołką i patronką Gruzji, jak i świętą Kościołów katolickiego, ormiańskiego oraz prawosławnego. Jak niesie historia, Nino była niewolnicą z Kapadocji, sprzedaną gruzińskiemu władcy. Niosła dobro i miłość, przyczyniając się między innymi do uzdrowienia żony króla Miriamy III. Ten w nagrodę wybudował na jej cześć świątynię Samtawro, wewnątrz której znajduje się grób św. Nino. Grób ten przykryty jest płytą, na której wyryto w kamieniu wizerunek świętej. Na zewnątrz świątyni



Grób św. Nino

znajduje się ogród warzywno-kwiatowy, pielęgnowany przez mieszkające tam mniszki. Charakterystycznym atrybutem zakonnicy jest krzyż św. Nino z ramionami opadającymi do dołu, wykonany z pędów winorośli.

Po krótkim odpoczynku autokarem wjechaliśmy na Gruzińską Drogę Wojenną. Jest to szlak przechodzący w poprzek Wielkiego Kaukazu, biegnący od Tbilisi do Władykaukazu. Liczy sobie 208 km długości, a w najwyższym punkcie wznosi się na wysokość 2379 m n.p.m.

W trakcie podróży droga stawała się coraz bardziej kręta. Zatrzymawszy się na tarasie widokowym, dzięki



Góry Kazbek

pięknej, słonecznej pogodzie mieliśmy okazję podziwiać rozległą panoramą gór. Na tym niezwykłym tarasie wybudowano ogromny mur, zdobiony niecodzienną mozaiką, przedstawiającą wydarzenia historyczne kraju. Centralną postacią jest „Matka Gruzja” z synem na kolanach.

Pełni wrażeń i emocji, których dostarczył nam kierowca, jadący brawurowo po bardzo krętej drodze, bezpiecznie dotarliśmy na nocleg.

Następnego dnia, jeszcze przed świtem, wsiedliśmy do marszrutek (rodzaj miejskiego transportu zbiorowego), kierując się ku podnóżom góry Kazbek.

Powoli wschodzące słońce oświetlało szczyt, tworząc niecodzienny widok, którego nie mogło zabraknąć na naszych zdjęciach. Po zwiedzaniu klasztoru Świętej Trójcy, wybudowanego pośrodku wysokich gór Kaukazu, pełni niesamowitych wrażeń, wróciliśmy na śniadanie.

Kolejnym etapem podróży tego dnia było wykute w skale starożytne miasto Upliscyche – „miasto władcy”. Twierdza składa się z części środkowej, dolnej i górnej przeznaczonej dla ludności, która chroniła się tam niegdyś przed najazdami wrogów.

W centralnej części budowli znajduje się cerkiew.

Wracając z Upliscyche, zatrzymaliśmy się przy niesamowitej górze – wulkanie. Z krateru wypływa tam zmineralizowana woda, która utleniając się przybiera barwy od żółci do brązu. Dowiedzieliśmy się, że są to gruzińskie Pamukkale.

W drodze do hotelu zahaczyliśmy o miasto Gori – miejsce narodzin Stalina. Chętni udali się do muzeum dyktatora.

W trakcie kolacji gruzińscy muzycy zademonstrowali nam nietuzinkowe umiejętności gry na swoich instrumentach. Mistrzem w swym fachu okazał się klarncista, grający na samym ustniku. Z kolei dziewczęta pochwały się kilkoma regionalnymi tańcami.



Taras widokowy z mozaiką „Matka Gruzja”



Starożytne miasto Uplisicche

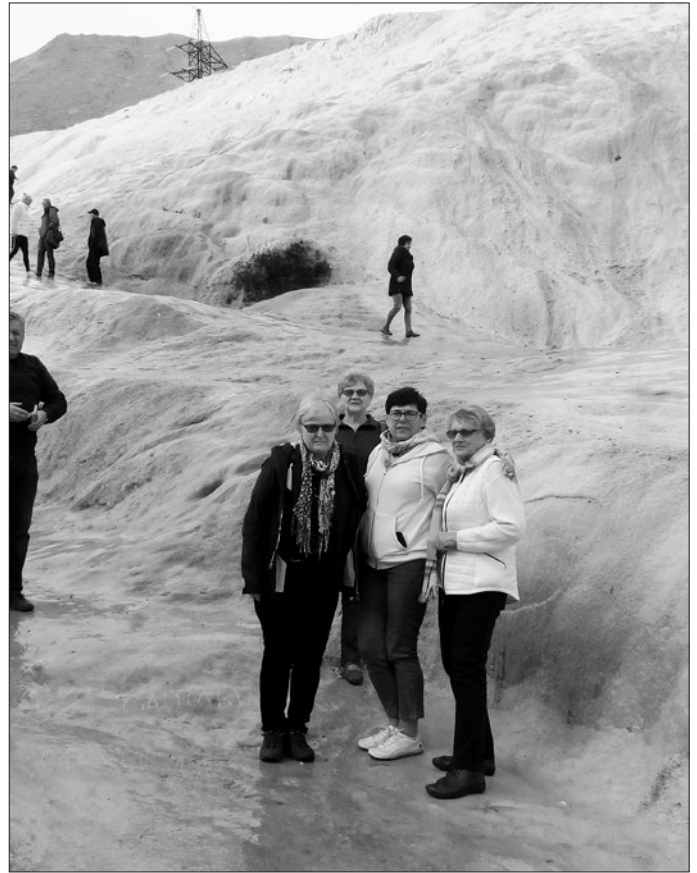
Wczesnym rankiem udaliśmy się do regionu Kachetii, kolebki gruzińskiego winiarstwa. Powitał nas tam zespół muzyczny w strojach ludowych. Na stołach przygotowano różne gatunki win oraz małe przekąski. Przewodniczka przedstawiła nam historię wina, dzięki której dowiedzieliśmy się, że od 4. tysiąclecia p.n.e. Gruzini zakopywali w ziemi gliniane naczynia (napelniane winogronami) zwane kwewri, w których dojrzewało wino w odpowiedniej temperaturze.

Po degustacji była oczywiście możliwość zakupienia wina, jak również brandy (gruziński koniak), oliwy i czaczy – bardzo mocnego alkoholu z wina.

Następnie udaliśmy się do najstarszej winiarni, gdzie również degustowaliśmy ten trunek. Byliśmy pod wrażeniem ogromnego pomieszczenia, w którym na półkach leżakowały tysiące butelek.

Po powrocie do Tbilisi powitano nas uroczystą kolacją w restauracji, z muzyką i pokazem gruzińskich tańców oraz tańcami w naszym wykonaniu. W trakcie zabawy, specjalnie dla Polaków wybrzmiała dedykacja „Hej so-koły”.

W przedostatnim dniu wycieczki wyruszyliśmy w kierunku wsi Udabno, leżącej w rejonie stepowo-pustynnym, na południu Gruzji. Tam, na zupełnym pustkowiu i na wyboistej drodze, przepuszczaliśmy stada krów, owiec i świń. Wkrótce naszym oczom ukazała się, stojąca tuż przy drodze samotna restauracja, prowadzona przez Polaków – Annę i Ksawerego. Będąc u nich gośćmi, delektowaliśmy się drożdżowymi plackami z różnym nadzieniem chaczapurii oraz pierożkami z mięsem w rosole, przygotowanymi przez Gruzinkę.



Gruzińskie Pamukkale

Dalszą podróż po stepie niestety przerwał nam ulewny deszcz.

Z kolei w ostatnim już dniu wycieczki udaliśmy się do Batumi nad Morze Czarne. Przy wjeździe do miasta śpiewaliśmy razem z Filipinkami „Batumi, ech Batumi...”. Małymi wagonikami wjechaliśmy na jedno z okolicznych



Batumi. Z prawej Wieża Alfabet, dalej zegarowa Wieża Czaczy

wzgórz, skąd rozpościerał się wspaniały widok na morze i całe miasto.

Następnie, rozkoszując się spacerem nadmorską promenadą, podziwialiśmy wieżę z gruzińskim alfabetem – Alphabetik Tower oraz stojącą tuż obok zegarową Wieżę Czaczy. Ciekawostką jest to, że o godz. 19 z kraników tej wieży wypływa czacza (alkohol), którą raczą się przechodnie. Nieco dalej stoi pomnik niespełnionej miłości Ali i Nino. Stalowe postacie zbliżają się do siebie i oddalają. Pomnik jest symbolem miłości chrześcijańskiej księżniczki Nino do muzułmanina Ali z Azerbejdżanu.

Byliśmy również na Europy, gdzie wznosi się statua Medei, która zgodnie z greckim mitem pomagała Argonautom w odzyskaniu złotego runa. Po drodze do

delfinarium zatrzymaliśmy się na rondzie Lecha i Marii Kaczyńskich. Z kolei w delfinarium podziwialiśmy niecodzienny pokaz tresury delfinów.

Ostatniego wieczora w Gruzji, na pożegnalnej kolacji serdecznie dziękowaliśmy naszym przewodnikom: Marcinowi – za idealne zorganizowanie naszej wycieczki oraz Tomaszowi – za jego ogromną wiedzę, kulturę osobistą oraz za serdeczny i wyrozumiały stosunek do wycieczkowiczów.

Późnym wieczorem przybyliśmy do Kutaisi, skąd po odprawie na lotnisku wylecieliśmy do Warszawy.

Uczestnicy wycieczki z całego serca dziękują panu Robertowi Rakowi za zorganizowanie tej niezapomnianej wyprawy.

Paweł Surdacki

Powroty w Karpaty Wschodnie

Po wielodniowej, pionierskiej, jak na czasy powojenne, wędrówce w 1989 r. przez połoniny Świdowca, dzikie ostępy Gorganów i najwyższą w Beskidach Wschodnich Czarnohorę, zakończonej zdobyciem jej najwyższego szczytu Howerli (2060 m n.p.m.), miałem aż 29-letnią przerwę w zwiedzaniu tych, jakże egzotycznych dla mojego pokolenia gór leżących na terenie dawnej, przedwojennej Polski.

Po rozpadzie Związku Radzieckiego w 1991 r. i powstaniu państwa ukraińskiego, przez kilkanaście lat w tereny te zapuszczali się jedynie nieliczni turyści z Polski. Wynikało to z niemalże całkowitego zniszczenia bardzo bogatej w przedwojennej Polsce infrastruktury turystycznej w postaci co najmniej kilkunastu okazałych schronisk, ale też i niewielkich schronów turystycznych. Należały one głównie do Oddziału Czarnohorskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego oraz do takich organizacji, jak Akademicki Związek Sportowy czy Przemyskie Towarzystwo Narciarzy. Schroniska te powstawały od czasu przed I wojną światową aż po 1939 r. Wraz z nimi utworzono sieć szlaków turystycznych, co sprawiało, że tereny Bieszczadów Wschodnich, Gorganów i Czarnohory były przy prężnie rozwijającej się infrastrukturze bardzo licznie odwiedzane przez turystów, stanowiąc po Tatrach najpopularniejsze tereny wypoczynku w górach.

Szczególnie w ostatnich latach przed wybuchem II wojny światowej nastąpił wysyp nowych, pięknych schronisk turystycznych, jednak lata wojny i okres powojenny przyniosły kres tak pięknie rozwijającej się bazy noclegowej w polskich Karpatach Wschodnich. Co więcej, wraz z nastaniem władzy radzieckiej, rozpoczął się okres nieuchronnego i szybkiego niszczenia tych wspaniałych obiektów, zarówno wskutek przymusowego opuszczenia ich przez polskich gospodarzy i turystów, dewastacji i rozkradania ich wyposażenia i materiałów konstrukcyjnych przez miejscową ludność, jak też i ce-

lowego niszczenia przez nowe władze komunistyczne nie zainteresowane utrzymaniem rozwoju turystyki górskiej na tych terenach, chcące też usunąć wszelkie pamiątki świadczące o polskości tych terenów. Całkowitemu zanikowi uległa też sieć znakowanych szlaków turystycznych, jak też rzadko używanych i zaniedbanych dróg dojazdu lub dojścia do pieszych tras wycieczkowych. Większość ścieżek, którymi wiodły uczęszczane kiedyś trasy, została zarośnięta przez szybko rozrastającą się w sposób niekontrolowany kosodrzewinę lub zawałona wiatrołomami i drzewami ściętymi podczas rabunkowej eksploatacji puszczy karpackiej.

Gdy byłem po raz pierwszy w Karpatach Wschodnich w 1989 r., po pięćdziesięciu latach od utraty tych terenów przez Polskę, góry te stały się ponownie dzikie, trudno dostępne i raczej nieprzyjazne dla przeciętnego turysty. Niezachęcający był również całkowity brak aktualnych map i wszelkiej literatury przewodnikowej tego bardzo rozległego i trudnego w orientacji terenu, pozbawionego schronisk i szlaków znakowanych, jak i możliwości zaopatrzenia w żywność wskutek znacznego oddalenia od wsi i jakiegokolwiek cywilizacji. Podczas bardzo wyczerpującej kilkunastodniowej wędrówki mieliśmy do dyspozycji tylko odbitki wybranych arkuszy przedwojennej mapy WIG (Wojskowego Instytutu Geograficznego) w skali 1:100 000. Zbyt mała dokładność tych map, jak też znacznie zmieniony z upływem lat wygląd terenu powodował, że orientacja w terenie wymagała od nas znacznego doświadczenia i wyobraźni w poruszaniu się po tym trudnym do chodzenia terenie, charakteryzującym się dużymi przewyższeniami, stromością i zarośniętym lasami i kosodrzewiną. W ostatnich latach XX w. zaczęły się pojawiać pierwsze współczesne poglądowe mapy tych gór, jednak były one w małej, często bliżej nieokreślonej skali, o rzadkich poziomicach, z którymi trudno byłoby precyzyjnie planować wycieczki i wędrować. Prawdziwe

mapy turystyczne Karpat Wschodnich zaczęły być wydawane dopiero w ostatniej dekadzie. Dość dokładne mapy kilkunastu pasm Karpat Wschodnich w skali 1:50 000 wydawane przez Vasyla Hutyriaka pozwalają już na precyzyjne poruszanie się w tym trudnym orientacyjnie terenie górskim.

Zaopatrzony w mapy kilku najbardziej atrakcyjnych pasm górskich, rozpocząłem w 2018 r. po prawie 30 latach przerwy ponowną penetrację jakże ciekawych, nie tylko dla Polaków, Karpat Wschodnich. W roku tym odbyłem dwa wyjazdy grupowe, z których każdy był dla mnie w pewien sposób pechowy. Pierwszym z nich



Kamienny kopiec i statua Matki Boskiej na szczycie Chomiaka (1541)

był coroczny prowadzony przeze mnie rajd Koła PTTK przy Politechnice Lubelskiej, odbywający się od 2010 r. w długi weekend Bożego Ciała, którego każda edycja była zlokalizowana w innych górach Polski, a ostatnio też Słowacji. Tym razem wybraliśmy się jednak autokarem do Jaremczy nad Prutem, górską rzeką mającą swe źródła pod Howerlą (2060 m n.p.m.), najwyższym szczytem Czarnohory i całych Karpat Wschodnich. Rzeka ta oddziela Gorgany Centralne, z najwyższą Sywulą (1836), od Gór Pokuckich (Beskidu Huculskiego), zwanych też przez Ukraińców Gorganami Zapruckimi, z najwyższym wzniesieniem Rotyło (1483).

Cały wyjazd był dość pechowy, gdyż najpierw wskutek awarii autokaru akurat w dzień świąteczny odjazd z Lu-

blina opóźnił się o wiele godzin. Potem okazało się, że kierowca ma zlecenie zawiezienia nas nie do Jaremczy, a do znanego i pięknego uzdrowiska Truskawiec, skąd miał odebrać do Lublina inną grupę. Uzdrowisko to jednak znajduje się w zupełnie innym miejscu niż rejon naszych planowanych wycieczek górskich i w ogóle nas nie interesowało. Po licznych i nerwowych negocjacjach telefonicznych z dyspozytorem autokaru udało się załatwić autokar zastępczy, do którego po kilkogodzinnej przerwie przesiadliśmy się w Stryju, przedwojennym pięknym polskim mieście powiatowym. Niestety pech tym razem dotknął najbardziej mnie, jako przewodnika grupy, gdyż podczas pospiesznej i nerwowej przesiadki zostałem okradziony i utraciłem torebkę z paszportem i innymi dokumentami oraz pieniędzmi. Po dość długim składaniu zeznań na komendzie miejskiej policji wreszcie wyruszyliśmy do Jaremcza, gdzie zamiast na planowane śniadanie w pensjonacie „Pid skałoju” dotarliśmy na późną kolację. Przez najbliższe 3 dni mieliśmy następne perypetie z kolejnymi autokarami, które codziennie miały jakąś awarię, na szczęście dającą się naprawić.

Ten splot nieszczęśliwych sytuacji udało się jednak przełamać, kiedy wyruszyliśmy w góry. Wskutek skrócenia się wyjazdu, zrealizowaliśmy tylko dwie całodzienne wycieczki piesze. Celem pierwszej był wyniosły, widoczny z daleka z różnych stron szczyt Chomiak (1541), na którego wierzchołku umieszczona została w 2006 r. na kamiennym kopcu statua Matki Boskiej, w pierwszych latach swego istnienia pięknie oświetlona z baterii słonecznej, potem niestety uszkodzonej. Szczyt Chomiaka,



Zejscie stromym gorgańskim żlebem ze szczytu Chomiaka

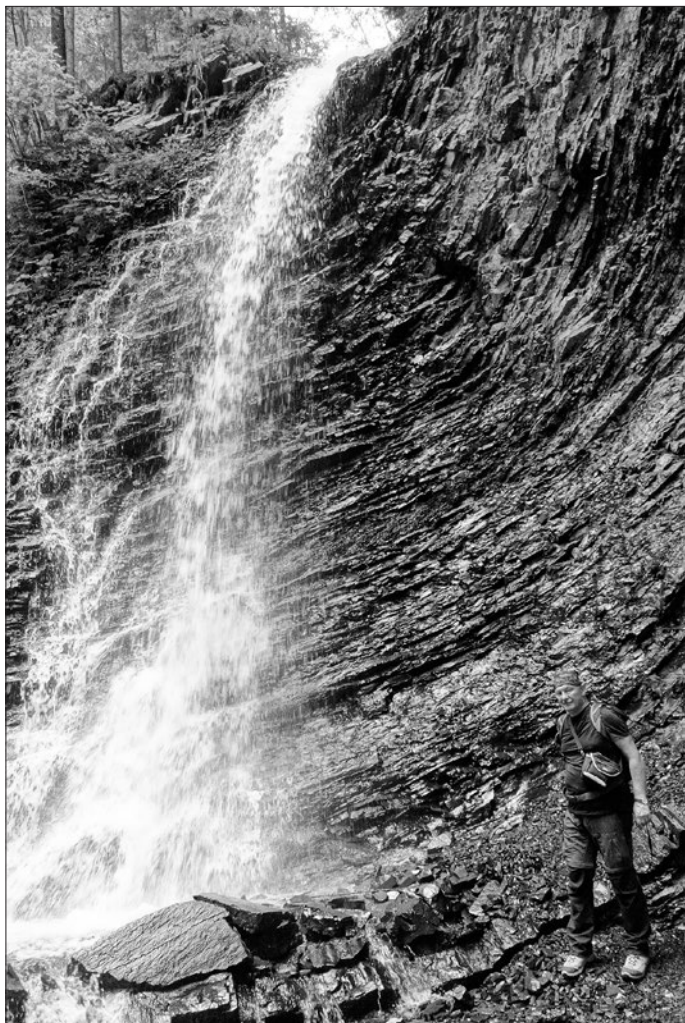
którego nazwa pochodzi od imienia Choma (Tomasz), tworzy odosobnione wzniesienie o regularnym, stożkowym kształcie, porośnięte w niższych partiach kosodrzewiną, a na wierzchołku pokryte blokami skalnymi. Ze względu na odosobnienie i znaczną wysokość względną stanowi jeden z najwspanialszych punktów widokowych w Gorganach.

Wyruszyliśmy z doliny Prutca Jabłonickiego, jednego z dopływów Prutu, wzdłuż Weredzińskiego Potoku, a następnie po wspinaniu się leśnymi zakosami dotarliśmy na połoninę Baranią, skąd mozolnie weszliśmy prosto do góry przez gorgan pokryty częściowo kosówką. Trud naszej wspinaczki został nagrodzony rozległą, dookólną i piękną panoramą Wschodnich Gorganów, Beskidu Huculskiego, Czarnohory i masywu



Szczęśliwi po zdobyciu szczytu Chomiaka, z którego widać po lewej stronie Syniak (1665), po prawej Gorgan Jawornicki (1467)

Świdowca. Z wierzchołka schodziliśmy skalnym wąwozem wprost na połoninę Chomiaków, poniżej której przed wojną stało schronisko Oddziału Stanisławowskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego im. Mieczysława Orłowicza, jednego z pionierów turystyki wschodniokarpackiej. Zbudowane zostało w 1937 r. w miejscu, gdzie wcześniej znajdowała się fabryka olejku z kosodrzewiny, która spaliła się w 1929 r. Obecnie cały masyw Chomiaka, jak i będący jego przedłużeniem, ale wyższy o ponad sto



Po zejściu z Chomiaka odwiedziliśmy wodospad Żeniec-ki (wys. 11 m)



Posiłek przy szałasie na połoninie Chomiaków

metrów Syniak, znajdują się w granicach Karpackiego Parku Narodowego. Park ten powstał w 1980 r. i jest najstarszy na Ukrainie, a jego dyrekcja mieści się w Jaremczu. Ze względu na bliskość ośrodków turystycznych w Bukowelu, Tatarowie i Jaremczu, pasmo jest licznie odwiedzane przez turystów. Przez cały grzbiet biegnie główny wschodniokarpacki szlak czerwony.

Na szczycie Chomiaka odłączyło się od naszej ok. 20-osobowej grupy dwóch młodych kolegów, którzy od-



Zza pleców wystaje Syniak (1665) w pasmie Doboszanki (1754)

czuwali niedosyt chodzenia z dość statecznie poruszającą się grupą 50–60-letnich weteranów turystyki górskiej. Za moją nieoficjalną aprobatą i na własną rękę, zaopatrzeni w latarki, wyruszyli szybkim krokiem w dość karkołomną trasę ponad dwukrotnie dłuższą od naszej planowanej wycieczki, a więc przez Syniak (1665), Mały Gorgan (1592), dolinę potoku Zubrynka na przełęcz Peresłop (1026), skąd zeszli doliną potoku Żonka do naszego pensjonatu w Jaremczu. Z niepokojem czekaliśmy po kolacji na ich powrót, który nastąpił tuż przed północą. Zmęczeni ponad miarę, ale szczęśliwi z przejścia tak wymagającej trasy, młodzi koledzy następnego dnia wzięli udział w wycieczce, jednak lojalnie oświadczyli, że będą iść spokojnie i już więcej nie będą się odrywać od całej grupy. Ja natomiast z moją grupą liczącą ok. 20 osób zszedłem z wierzchołka Chomiaka dość stromym kamiennym żlebem na piękną widokowo połoninę Chomiaków, z której jeszcze prawie pięćset metrów niżej znaleźliśmy się w dolinie potoku Żeniec. W górnym krańcu tego potoku dotarliśmy do jednego z większych wodospadów w Gorganach o wysokości 11 m na potoku Żeńczyk, dopływie Żeńca, którego doliną dotarliśmy do Podleśniowa w dolinie Prutu. Tradycyjnie już na tym wyjeździe mieliśmy kolejną awarię autokaru, jednak w oczekiwaniu na jej usunięcie grupa spędziła miłe chwile przy piwie.

Zgodnie z tradycją naszych rajdów Koła PTTK przy Politechnice Lubelskiej, wszystkie wieczory wypełnione zostały spotkaniami integracyjnymi, na których oglą-

waliśmy zazwyczaj zdjęcia z poprzednich wyjazdów oraz śpiewaliśmy piosenki turystyczne przy akompaniamencie gitar, fletów, tzw. przeszkadzajek nadających rytm, a nawet skrzypiec. Nie inaczej było też i na tym wyjeździe. Dodatkowym punktem programu były te spontaniczne tańce i zabawy ruchowe podczas śpiewania piosenek turystycznych. Pod względem tychże piosenek, grupa nasza jest świetnie zorganizowana od lat, gdyż posiadamy własny śpiewnik turystyczny i praktycznie wszyscy znają te piosenki i włączają się w śpiewanie.

Następnego dnia pojechaliśmy z grupą autokarem przez Mikuliczyn, Tatarów i Worochtę na przełęcz Kri-



Wieczór piosenki turystycznej w pensjonacie „Pid Skaloju” w Jaremczu

na pasmo Kostrzycy (1586), które ciągnie się równolegle na północ od głównego pasma Czarnohory i jest od niego niższe o ponad czterysta metrów. Z Kostrzycy jednak roztacza się najpiękniejsza panorama Czarnohory, która wygląda stąd jak zębaty wał zajmujący niemal całą szerokość horyzontu. Na połoninie Wesnarka w pasmie Kostrzycy znajdują się pozostałości schroniska harcerskiego zbudowanego w 1935 r. w stylu huculskiej grażdy. Ze względu na brak czasu zrezygnowaliśmy



Urwisko w Jaremczu nad Prutem naprzeciwko pensjonatu

jednak z jego poszukiwania i zesłiliśmy do huculskiego przysiółka u podnóża Makowicy (1161), a następnie z tego wierzchołka podziwialiśmy piękną panoramę Beskidu Huculskiego z najwyższymi szczytami Rotyło (1483), Hordie (1479) oraz Biła Kobyła (1477) ciągnącą się od Worochty aż po Żabie (obecnie Werchowyna). Podczas powrotu ukraińskim autokarem do Jaremcza spodziewaliśmy się kolejnej awarii, oceniając fatalny jego wygląd, a zwłaszcza przednią szybę, której liczne pęknięcia po-

klejone taśmami sprawiały wrażenie, jakby za chwilę miała się rozlecieć. Tym razem jednak bez spodziewanych przygód dotarliśmy do pensjonatu „Pid Skaloju”. Wieczorem z miejsca noclegu mieliśmy okazję obserwować potężny obryw kamieni z olbrzymiej pionowej skały w kształcie słonia leżącej po drugiej stronie rzeki Prut.

W drodze powrotnej z Jaremcza za Stanisławowem nasz polski tym razem autokar miał krótką, na szczęście, awarię, co już nas wcale na tym wyjeździe nie zdziwiło. We Lwowie grupa nasza z ukraińskim przewodnikiem zwiedzała stare miasto, ja zaś miałem czas na załatwienie tymczasowego paszportu w polskim konsulacie, co okazało się dość kosztowne. Do Polski wracaliśmy ponownie przez przejście graniczne w Dolhobyczowie.

Wydawało mi się, że w tym roku 2018 wyczerpałem już limit pechowych zdarzeń, które mnie spotkały. Jednak następny wyjazd w Karpaty Wschodnie na przełomie czerwca i lipca w ramach X Jubileuszowego Rajdu Przewodników PTTK z Rzeszowa, zapowiadający się turystycznie bardzo interesująco, pokazał, że mój pech jeszcze się nie skończył.

Baza rajdu była zlokalizowana w Polanicy w dolinie potoku Prutczyk, dopływającego poprzez Prutec Jabłonicki



Z Kostrzycy (1586) widać całą główną grań Czarnohory złożoną z sześciu dwutysięczników. Od prawej strony grań rozpoczyna się od Pietrosa (2020), poprzez najwyższą w Czarnohorze Howerlę (2061) oraz szczyty m.in. Rebra (2001), Gutin-Tomnatyk (2016), Brebenieskuł (2035), Munczel (1998) i kończy się po lewej stronie masywem Popa Iwana (2028) z ruinami obserwatorium „Biały Słoń”

do rzeki Prut, w pensjonacie „Huculska Switlicia”. Powyżej Polanicy w dolinie Prutczyka znajduje się, znany w ostatnich latach i jeden z nielicznych na Ukrainie, ośrodek narciarski Bukovel, w którym są znakomite, jak na Ukrainę trasy zjazdowe o łącznej długości ok. 60 km. Program wycieczek zapowiadał się bardzo bogato, gdyż miało to być sześć całodziennych wycieczek autokarowo-piesznych w okoliczne pasma górskie.

Tuż po nocnym dojeździe do Polanicy i zakwaterowaniu się, pierwszym punktem programu było śniadanie, po którym jeszcze dość senni wyruszyliśmy w góry. Pierwsza wycieczka górską wiodła z Polanicy przez piękną połoninę Tomnatyk z szałasem pasterskim, koło którego zrobiliśmy odpoczynek i posiłek, na Syniak (1665). Masyw Syniaka łączy się ze szczytem Chomiaka (1541), na którym byłem na poprzednim wyjeździe tego samego roku i mogłem podziwiać z daleka te góry. Oba masywy tworzą pasmo o długości ok. 15 km, które jest poprzez dolinę Zubrynki przedłużeniem pasma Doboszanki (1754). Nazwa szczytu pochodzi od słowa „synij” (ciemnoniebieski), stąd też „synjek” (siny kamień) oznacza gorgan (rumowisko głazów skalnych). Na szczyt Syniaka podchodziliśmy z połoniny Tomna-



Bliskie spotkanie na połoninie Wesnarka w pasmie Kostrzycy (1586). W tle Howerla (2062) wyższa o prawie 400 m

blemy ze zlokalizowaniem wierzchołka we mgle. Kiedy jednak wyruszyliśmy na zachód 2-kilometrowym lekko opadającym grzbietem w kierunku nieco niższego szczytu Małego Gorganu (1592), mgła rozwiała się i mogliśmy w czasie marszu podziwiać rozległe gorgańskie panoramy, a w szczególności widoczny na wprost najwyższy w okolicy masyw Doboszanki (1754), z której rozległą panoramę mogłem podziwiać podczas biwakowego prze-

jęcia przez Gorgany w 1989 r. Nazwa szczytu wiąże się z najslawniejszym wschodniokarpackim opryskiem Oleksą Dowbuszem. Obecnie cały masyw Doboszanki znajduje się na terenie ścisłego rezerwatu „Gorgany”, nie prowadzą przez niego żadne szlaki znakowane i za wejście na szczyt można dostać mandat, na co zwracał uwagę nasz wspaniały ukraiński przewodnik Oleksandr Nużnyj, zwany potocznie Saszą, który świetnie mówi po polsku. Dzięki Saszy mogliśmy dość dokładnie rozpoznawać wszystkie widoczne szczyty i masywy górskie, a było co oglądać. Dojście na Mały Gorgan, mimo braku podejść, okazało się dość mozolne i nawet niebezpieczne, gdyż nie ma tam żadnej w miarę równej ścieżki, a grzbiet pokryty jest wielkimi głazami skalnymi, rozrzuconymi dość przypadkowo, których pokonywanie wiąże się z mozolnym wspinaniem na kolejne głazy, a następnie schodzeniem



Ćwiczyliśmy różne sposoby pokonywania przeszkód przy zejściu z Makowicy w pasmie Kostrzycy

tyk niezwykle stromym zboczem, jednak dzięki licznym zakosom kamiennej ścieżki poprowadzonej przez zwały gorganu, mozolnie dotarliśmy na już dość płaski wierzchołek. Ponieważ w międzyczasie powstała dość gęsta mgła, nie mogliśmy podziwiać rozległej i dookólnej panoramy ze szczytu. Co więcej, mieliśmy nawet pro-

z nich, co jest bardzo uciążliwe fizycznie i psychicznie i wymaga nieustannej uwagi, aby nie skrećić lub nie złamać nogi. Po dojściu na Mały Gorgan mogliśmy jednak bez przeszkód podziwiać bliski już olbrzymi masyw Doboszanki, jak też wylaniające się zza niego szczyty najwyższej w Gorganach Sywuli (1836) i Małej Sywuli (1815),

na których byłem ostatnio w 1989 r., ale i w następnym 2019 r. Bardzo strome zejście z Małego Gorganu na połoninę Błaziw okazało się dość karkołomne i niebezpieczne, gdyż każdy krok powodował minilawinę osuwających się kamieni. Połonina Błaziw z szalaszem pasterskim oddziela grzbiet Małego Gorganu od niższego Babinego Poharu (1478), poprzez który można dojść czerwonym szlakiem na przełęcz Stoły (1100) oddzielającą pasmo Syniaka od połoniny Douhej (1370). Po odpoczynku i posiłku na połoninie Błaziw zeszliliśmy za zielonymi znakami wąwozem Babinej Jamy i poprzez uroczysko Bulczyniocha doliną potoku Wilszyniec, która doprowadziła nas do słynnego ośrodka narciarskiego Bukovel. Po drodze mijaliśmy liczne wyciągi krzeselkowe oraz armatki śnieżne. Ostatni odcinek z Bukovela do Polanicy był dość nużący, gdyż trzeba było iść ok. 4 km szosą. Wieczorem organizatorzy przewidzieli pierwszy wieczór integracyjny, jednak po nocy spędzonej w autokarze każdy z uczestników odczuwał potrzebę wyspania się.

Następnego dnia wszystkie cztery grupy zostały dowieszone autokarami przez przełęcz Jabłonicką (931), stanowiącą najniższy przejazd drogowy w poprzek głównego grzbietu Wschodnich Karpat, do Jasini, największej na Zakarpaciu wsi huculskiej typu miejskiego z licznymi przysiółkami w bocznych dolinach i na stokach. W całej gminie jest ok. 22 tys. mieszkańców, z czego 7 tys. to Węgrzy. Nazwa pochodzi od jesionów. W latach 1918 i 1919 osada pełniła rolę epizodycznej tzw. Republiki Huculskiej. W osadzie znajdują się dwie drewniane cerkwie w stylu huculskim oraz dwa murowane kościoły węgierskie, przy czym jeden z nich został zamieniony na cerkiew. Znajduje się tu też stacja kolejowa, w której w 1989 r. zdeponowaliśmy zapasy żywności na drugą część ówczesnej wyprawy w Karpaty Wschodnie.

Jednak nie Jasinie były celem naszego dojazdu. Po wyjściu z autokarów czekały na nas potężne ciężarówki, które każdą z grup miały dowieźć do miejsca wyruszenia w góry. Dwie grupy zostały dowieszone mozolnie dość stromą i wąską doliną Czarnej Cisy na przełęcz Okole (1200). Jest to przełęcz graniczna pomiędzy masywem Świdowca a Gorganami. Na samej przełęczy znajduje się budynek niezamieszkałej stale leśniczówki, a opodal bróg pełen siana. Ścieżka wiodąca na północ wspina się na pasmo Bratkowskiej (1788), zwane też Połoniną Czarną, pokryte gęsto kosodrzewiną. Ponad przełęczą Okole, na zboczu pasma Bratkowskiej, znajduje się jedno ze źródeł Czarnej Cisy, uważane przez Węgrów za główne źródło Cisy, narodowej rzeki węgierskiej, która w całości płynie w granicach państwa. Źródło to z inicjatywy MKE (Węgierskie Towarzystwo Karpackie) zostało ujęte w kamienne obmurowanie, a napisy na tablicach (węgierskie, czeskie, ukraińskie) zmieniały się razem z granicami państwowymi. Miałem okazję być tu 29 lat wcześniej, natomiast rok później, w 2019 r., odwiedziłem z kolei źródło Białej Cisy, znajdujące się w rachowskiej części Karpat Marmaroskich. To źródło również jest pod stałą opieką węgierskiej organizacji turystycznej.

Jedna z grup dowieszonych ciężarówkami wyruszyła na szczyt Bratkowskiej (1788) z zamiarem powrotu tą samą drogą na przełęcz Okole, co okazało się dla mnie

szczęśliwym zbiegiem okoliczności w nieszczęściu, które przydarzyło mi się podczas wycieczki tego dnia. Moja grupa prowadzona przez Saszę również dojechała na Okole, jednak miała przejść przez kilka gór masywu Świdowca, m.in. szczyty: Tataruka (1707), Troiaska (1702), Geryszaska (1762), Apszyniec (Worożeska 1731), Velykyj Kotel (1770), Kraczunieska (1686), Stih (1704), z opcjonalnym wejściem na najwyższą Bliźnicę (1883). Celem trasy miał być znany, choć może nie tak rozbudowany jak Bukovel, ośrodek narciarski Drahostrat. Do niego to właśnie miała dojechać ciężarówka, która miała odebrać moją grupę, prowadzoną przez Saszę. Zatem powrót tą samą drogą na przełęcz Okole nie wchodził w rachubę. A jednak ciężarówka czekająca na przełęczy Okole na powrót drugiej grupy ze szczytu Bratkowskiej okazała się dla mnie wybawieniem.

Po 40 minutach dość szybkiego marszu z Okola na zbocza Tataruki (1707) po mocno błotnistej pnącej się do góry ścieżce, na której stawiałem kroki dość pośpiesznie i przypadkowo, nagle poczułem ostre skrzywienie prawej stopy i zostałem bez mojej świadomości powalony na błotniste podłoże. Z trudem z pomocą współtowarzyszy podniosłem się, jednak czułem ostry ból w stawie skokowym prawej nogi. Przez kilka minut próbowałem dalej iść pod górę, jednak ból nogi nie pozwolił mi na marsz ze zwykłą prędkością. Jeden z towarzyszy wypożyczył mi kijki, których dotychczas przez całe moje turystyczne życie nie używałem, dzięki którym mogłem bardzo powoli poruszać się, przenosząc ciężar ciała z bolącej nogi na kijki. Niestety tempo mojego marszu było tak wolne, że kolega zamykający grupę stwierdził, że dalszy mój marsz wobec znacznej długości zaplanowanej trasy nie ma sensu. Wiedząc, że na przełęczy Okole czeka na drugą grupę ciężarówka, zdecydowałem, że jedynym ratunkiem dla mnie jest powrót tą samą drogą. Na szczęście zostawiono mi do użytku kijki, jednak nie było nikogo chętnego, aby mi towarzyszyć w drodze powrotnej. Każdy z towarzyszy miał ambicję pokonania dość długiej i wymagającej trasy do Drahostratu. Ponieważ w moim górskim życiorysie miewałem już przeróżne sytuacje ekstremalne, nie przejąłem się samotnym powrotem, gdyż nie raz zdarzało mi się wędrować po górach indywidualnie i w różnych okolicznościach. Pożegnawszy końcówkę grupy, znajdując się na wysokości ok. 1400 m n.p.m., zacząłem schodzić do przełęczy Okole. Dzięki kijkom mogłem nie przenosić ciężaru ciała na uszkodzoną nogę, jednak taki marsz w dół zbocza zabrał mi trzykrotnie więcej czasu niż podejście do tego miejsca. Na szczęście teraz już nie musiałem się spieszyć, bo druga grupa miała zejść z Bratkowskiej dopiero po południu. Wracając na przełęcz rozmyślałem, czy jeszcze wezmę udział w następnych wycieczkach tego wyjazdu. W planie były jeszcze cztery całodienne wycieczki górskie. Boląca noga raczej nie dawała takich nadziei, jednak szokiem dla mnie była perspektywa straconego całego letniego sezonu górskiego. Miałem nadzieję, że to tylko niegroźne skrzywienie nogi. Po dojściu do przełęczy odetchnąłem, zobaczywszy ciężarówkę, która czekała na drugą grupę, wraz ze zdziwionym kierowcą. Po powrocie z wycieczki na Bratkowską do ciężarówką dosiedli się również zdziwieni uczestnicy. Z wielką goryczą

musiałem im opowiadać o mojej przygodzie. Również nie mogli się nadziwić, że w tej nietypowej sytuacji wypadkowej wracałem na przełęcz zupełnie sam. No cóż, w życiu nie wszystko jest tak oczywiste, trzeba być twardym. W trakcie drogi powrotnej rozpoznałem znany mi skądś głos. Przyglądałem się uważnie tej osobie i po dłuższym czasie stwierdziłem, że koleżanka ta przed laty była uczestniczką obozu wędrownego prowadzonego przeze mnie w 1985 r. w górach Riła i Pirin w Bułgarii. Chyba jednak ja musiałem się bardziej zmienić przez te lata, skoro dopiero po moich zapytaniach rozpoznała mnie.

Po dojeździe do Jasini i przyjeździe ciężarówki z moją grupą przesiadliśmy się z powrotem do autokarów i powróciliśmy przez przełęcz Jabłonicką do naszego pensjonatu w Polanicy. Wieść o mojej przygodzie natychmiast rozeszła się wśród wszystkich uczestników rajdu. Do mojego pokoju co chwila przychodziły pielgrzymki osób odwiedzających i udzielających przeróżnych rad odnośnie dalszego postępowania i leczenia. Ujawniło się nawet kilkoro lekarzy różnych specjalności, jednak najważniejsza dla mnie była wizyta kierownika rajdu Witka Haspela oraz Saszy – przewodnika mojej trasy. Chyba miał wyrzuty sumienia, że pozostawił mnie w górach bez jakiegokolwiek opieki. Późnym wieczorem, po kolacji, zostałem przez kolegów zniesiony do busa, którym wraz z Saszą i towarzyszem pojechałem do szpitala w Jaremczu. A więc po poprzednim pobycie turystycznym w pensjonacie „Pid Skaloju” w Jaremczu, po ponad miesiącu wylądowałem w tej samej miejscowości, tym razem jednak w szpitalu. Chociaż w Polsce rzadko zdarzało mi się bywać w szpitalach w charakterze pacjenta, to jednak obserwacja od wewnątrz ukraińskiego szpitala nie przynosiła zachęcających wrażeń. Byłem tu jednak zdany na łaskę i umiejętności tutejszej służby zdrowia, a także warunki znacznie odbiegające od tych panujących w polskich szpitalach. Po prześwietleniu rtg wykazującym złamanie kostki bocznej moja noga została zagipsowana i po ponownym prześwietleniu chirurg-traumatolog na pytanie o perspektywy leczenia tylko podniósł do góry kciuk, co sugerowałoby perspektywę samoczynnego zrośnięcia się i zagojenia złamania. Jednak tyle tylko mogłem uzyskać od ukraińskiej służby zdrowia. Pozostałe dni rajdu spędziłem w pokoju, tylko teoretycznie przetwarzając trasy wycieczek, w których już nie mogłem wziąć

udziału. Następnego dnia kierownik rajdu zafundował mi zakupione w Nadwórnej kule, dzięki którym mogłem się poruszać o własnych siłach, co sprowadzało się tylko do schodzenia do jadalni na posiłki oraz na wieczorne imprezy integracyjno-śpiewankowe i występ huculskiego zespołu „Na drabinie”. Szczególnym wydarzeniem był wyjazdowy bankiet z okazji jubileuszowego 10. rajdu, który się odbył w karczmie pod przełęczą Jabłonicką z muzyką huculską i tańcami, na którym jednak mogłem być tylko obserwatorem. Z trudem dotrwałem do końca rajdu. W drodze powrotnej zwiedzaliśmy kościół i klasztor Karmelitów w Bolszowcach koło Stanisławowa, zaś na każdym postoju współtowarzysze ze współczuciem i może z podziwem obserwowali mnie coraz sprawniej poruszającego się o kulach.

Po powrocie do Polski dość szybko znalazłem się w szpitalu i po obejrzeniu przywiezionych prześwietleń rtg lekarz natychmiast podjął decyzję o operacji złamanej kostki bocznej. Przy zdejmowaniu gipsu pielęgniarki nie mogły się nadziwić materiałom i technice gipsowania, stwierdzając, że takie gipsowanie to u nas wykonywało się trzydzieści lat temu. No cóż, w końcu znalazłem się w warunkach znacznie bardziej cywilizowanych niż na Ukrainie. Po operacji czekała mnie długotrwała rehabilitacja. Cały sezon letni oczywiście był stracony, a do pracy mogłem wrócić po licznych zabiegach rehabilitacyjnych i po dodatkowych badaniach w połowie października.

Tak się zakończyły moje perypetie z dwoma pechowymi powrotami w Karpaty Wschodnie. Od czasu pamiętnego pechowego złamania po górach chodzę już zawsze z kijkami. Wygląda na to, że w następnych latach pech mnie wreszcie opuścił, gdyż w 2019 r. udało mi się zrealizować trzy wyprawy w ukraińskie Karpaty Wschodnie, oprócz tego również trasy górskie w Bieszczadach oraz Tatrach Słowackich Zachodnich i Wysokich, zaś w roku pandemicznym 2020 wycieczki górskie w Beskidzie Sądeckim, Tatrach i na Pogórzu Strzyżowskim. Również w bieżącym roku 2021 prowadziłem prawie tygodniową trasę wycieczkową w Bieszczadach w wydłużony weekend Bożego Ciała, a w planie mam jeszcze kilka bardziej wymagających wypraw. O tych związanych z moimi szczęśliwymi tym razem powrotami w Karpaty Wschodnie opowiem następnym razem...

Zdjęcia w tekście wykonali uczestnicy wycieczek